



BOGOWIE POKAZUJĄ KLATY

BILL GASTON

MARGINESY

PRZEŁOŻYLI

KRZYSZTOF MAJER

KAJA GUCIO

Numer z latawcem

– To całe Tofino – zawyrokował z łóżka wujek Phil, z pierwszym tego dnia petem podrygującym na ustach – jest jakies cudaczne.

Dzień był ciepły i przyjemny, i właśnie tego dotyczyła uwaga, bo wczoraj było burzliwie i zimno. „Absurdalnie zimno!”, powiedział wtedy, wcale nie żartując. „Środek maja!” Cudaczne jego zdaniem było też to, że zawsze słyszało się huk fal, nieustanny huk oceanu.

– Dzięki, stary.

Philip miał radochę z tego, jak wujek Phil mu dziękuje. Tym razem imiennik przyniósł z salonu papierosy, ale od dwóch dni z chęcią biegał po apartamentowcu, wykonując tego typu posługi, bo chciał lepiej poznać angielskiego wujka (innych nie miał), widywanego raz do roku. Ciekawe pojęcia: „krewny”, „Anglia”. A wujek Phil umiał być zabawny na sposób, który rodzicom Philipa był całkowicie obcy. Te jego wyrażenia! Na przykład kiedy wzdychał, mówiąc pod nosem: „Totalny karnawał”, z akcentem na ostatnią sylabę, jakby z francuska. Co też wujek mógł mieć na myśli?

Stojąc w progu, Philip patrzył, jak wujek zaciąga się w roztargnieniu papierosem, wyjmując go z ust i widząc, że nawet niepodpalony, klnie i zrywa się z łóżka, przy czym wydatkuje

więcej energii niż podczas całej reszty dnia. Przez wzgląd na dzieci matka Philipa nie pozwalała wujkowi palić w wynajętym apartamencie.

Wujek Phil wciąż jeszcze był w kąpielówkach, które założył wczoraj wieczorem do jacuzzi. Ciało (zdaniem Philipa) miał takie, jakiego można się było spodziewać po facecie z Anglii, zwłaszcza po muzyku – to znaczy bez wyraźnie zarysowanych mięśni. Nawet opalenizna zdawała się pozostawać w dość luźnym związku ze skórą, gryzła się z wylażącą spod spodu bladeością. Philip musiał zgodzić się z podsłuchaną oceną matki, która powiedziała ojcu: „Twój brat jest dwa lata młodszy, a wygląda, jakby był starszy o dziesięć”. Ton brzmiał oskarżycielsko, a Philip wiedział, że chodzi o styl życia, jaki wujek sobie upodobał. Czy raczej o to, cytując dosłownie, „jak twój brat się prowadzi”.

– Wszystko zrobiliśmy na odwrót, miśku – krzyknął raz jeszcze wujek Phil do ciotki Sally, która nie usłyszała, bo była przy aucie, szukając filtra do opalania „w kuftrze”, jak mówiła na bagażnik. Na odwrót: czyli powinni byli zacząć od Kanady i dopiero później jechać na Jamajkę, bo „wtedy by się nie czuło takiej, kuźwa, lodowy. Za rok najpierw zimne, p o t e m ciepłe”. Wujek Phil często mówił „kuźwa”, ale czasem mu się wymyśliło to drugie. Wtedy matka Philipa zaciskała oczy, a raz nawet odciągnęła ojca na bok, by się z nim sprzeczać sykliwym szeptem.

Siedzieli, zającąc prędko śniadanie. Siostrzyczka i braciśzek Philipa prześcigali się w zlizywaniu dżemu z grzanek, zanim ktoś im zwróci uwagę. Matka Philipa niecierpliwiła się nad kuchenką, czekając, aż usmaży się bekon. Wujek Phil zawsze chciał bekon, i żeby był chrupiący. Philipa cieszyło to, jak wujek broni swoich występków: dziś rano matka, zbierając przed

wyjściem do sklepiku śniadaniowe zamówienia, aż podskoczyła na dźwięk tubalnego głosu zza zamkniętych drzwi sypialni: „Cokolwiek, byle krzepiącego i z wieprzowiną!”. To też było strasznie angielskie, w pewien sposób przebiegłe, jak w *Kubusiu Puchatku*.

Tego ranka pomysł był taki, że rodzice Philipa z ciotką Sally popłyną oglądać wieloryby, a wujek Phil zabierze trójkę dzieciaków na największą plażę w okolicy, by skorzystać z ciepłego dnia. Dwunastoletni Philip umiałby już wprawdzie docenić niezbyt spektakularne pływacze wynurzające się z głębin, by zaczerpnąć powietrza, ale nawet na spokojnym morzu dostawał choroby morskiej. Zresztą, jak to ujął ojciec, chłopak musiał pomóc „biednemu wujkowi zapanować nad dziką hordą”. Wujek chyba faktycznie był wdzięczny, że Philip też zostaje. Nie mieli z ciotką Sally dzieci – jeszcze jedna rzecz, która zdawała się drażnić matkę.

Racząc się bekonem i udając, że próbuje odwieść tamtych od oglądania wielorybów, wujek Phil spytał:

– Serio wolicie jakieś wielkie szare galarety od numeru z latawcem?

Za nic nie chciał wyjawić, na czym ten numer polega, ale ciotka Sally przytaknęła:

– Jest niezły.

Po śniadaniu, kiedy rodzice i ciotka pojechali, Philip znów stanął w drzwiach sypialni, żeby zobaczyć, jak wujek wciąga płócienną kamizelkę myśliwską na jaskrawoczerwony podkoszulek z długimi rękawami, a potem obejmuje się i mówi: „Brrrr!”. Wujek lubił, jak się na niego patrzyło. Włosy miał zawsze portargane, czasem całe kosmyki stały pionowo, a kiedy się ruszał, komicznie za nim podążały. Potrafił cały dzień przechodzić

w tej kamizelce – ponoć autentycznej, ze szlufkami na naboje. Na plecach widniał wielki symbol jin-jang, ale dość nietypowy, bo w dwóch odcieniach niebieskiego. Philip wiedział, co oznacza: przeciwieństwa, które tworzą całość. Chociaż dziwnie tam wyglądał, był to jeden z sensowniejszych ornamentów na kamizelce. Philip nie znosił ludzi, którzy mówili „jin-jang”. Ale jeszcze bardziej tych, co mówili „sensu stricte”.

Wycofał się z pokoju, kiedy tylko wujek w jednej z kieszonek wyszperał zapalniczkę. Ale zapach dymu i tak go dopadł, i to niemal od razu – ledwo Philip minął siostrzyczkę i braciszka, żeby otworzyć okno i drzwi na patio. Chociaż aktu wentylacji dokonał po cichu, czuł się niezręcznie: jak lalusz i maminsynek. Poza tym jasne było, że otwarte okna tym szybciej wywabią dym z sypialni wujka i wcisną całej trójce w nos. Wszystko na nic, matka i tak wyczuje, a wieczorem będzie kolejna sykliwa awantura na parkingu.

– Czyli co – zagadnął wujek Phil, wychodząc swobodnym krokiem z sypialni, z gorejącym petem, nieświadom buntu chłopca. – Ta cała plaża, to słynne Long Beach... Mają tam moshpit?

– Jasne. – Odkąd tylko wujek odkrył, że Philip wie, co to moshpit, a jego rodzice nie, tak właśnie gadał. Czyli co, ta cała siódma klasa... Mają tam moshpit? Czyli co, ta cała restauracja z owocami morza, co tam teraz jedziemy... Mają tam moshpit? Przy czym Philip z wujkiem odmawiali wyjawienia reszcie, czym właściwie jest moshpit. Wytatuowana ciotka Sally tylko się uśmiechała. Widać było, że wcale nie chce tu być. Oczy miała ciężkie od wyczekiwania. Była młodsza od wujka, a Philip wiedział, że tak naprawdę nie są małżeństwem, chociaż byli razem, odkąd pamiętał. Wujek Phil czasem mówił na nią „ciotka Świrli”, co strasznie bawiło Sashę i Tommy'ego, zwłaszcza gdy

ciotka Świrli robiła adekwatną minę. Ale też zawstydząo, bo ich rodzice nigdy się tak nie wygłupiali przy dzieciach.

Przed wyjazdem na „rejs z wielorybami” matka położyła Philipowi dłonie na ramionach i wzięła go na bok, między rosnące przy parkingu rododendrony.

– Pamiętaj, że będziecie na plaży. Tam jest bardzo, ale to bardzo silny prąd wsteczny – powiedziała. – Doróśli się tam topią. A ni na chwilę nie spuszcza z oka Tommy’ego i Sashy. Nie pozwalaj im wchodzić dalej niż po kostki. Dzisiaj jest dzień na zamki z piasku. – Zerknęła nad szklami okularów w stronę apartamentu i uniosła znacząco brwi. – Dowodzisz ty. – Ścisnęła jego ramiona i powtórzyła: – Ty.

Philip miał do matki żal, że staje między nim a wujkiem. Coraz wyraźniej rozumiał, że do krewnych można czuć coś więcej niż tylko to, co da się wyjaśnić wzajemnym przyciąganiem genów. Tego lata do Philipa dotarło, że wujek Phil odwiedzał ich co roku nie tylko po to, żeby zobaczyć się z jedynym bratem, ale również – i to coraz wyraźniej – żeby zobaczyć się z nim. To jego uściśkał na lotnisku w drugiej kolejności, mówiąc: „Serwus, imienniku”.

Philipowi to się w wujku podobało – ta potencjalna, rozkwitająca wujkowatość. Jakiś czas temu raz jeszcze przeczytał sobie w encyklopedii oksfordzkiej definicję „awunkulatu”.

Na Long Beach jechało się dwadzieścia minut, podczas których wujek Phil tylko raz udał, że są po złej stronie ulicy: kiedy na horyzoncie nie było żadnego auta, wysunął się za podwójną żółtą linię, skwitował to gamoniowatym „Ups!” i delikatnie sprowadził ich na właściwy pas. Braciszek i siostrzyczka Philipa bardzo się przejęli, chociaż tylko Sasha, lat osiem, miała jakieś pojęcie o tym, co to lewa i prawa strona.

- Nie mogę uwierzyć, że za miesiąc będziesz mieć czynaście lat. - Wujek Phil puścił do niego oko. - Stary, czynaście, zaraz flaga na maszcie!

Philip siedział w milczeniu. Uśmiechnął się jak jego ciotka, w ten sam umęczony, znaczący sposób. Wiedział, co wujek ma na myśli. Ale jeszcze lepiej wiedział, że jeśli chodzi o „te sprawy”, kolejny rok nie będzie się różnił od obecnego.

- Wolno się czasem zabawić, jasne, tylko żebyś dalej miał te swoje piątki. Kapujesz? Może te wszystkie twoje dziewczuchy ci pomogą?

- No.

- Umowa stoi?

- No.

- Serio miałeś sto procent z matmy?

- No. - Właściwie to miał sto pięć: absurd wziął się z durnych obietnic nauczyciela, że będą punkty dodatkowe.

- A z fizyki?

- Też.

- A z brandzologii?

Philip uśmiechnął się, patrząc prosto przed siebie. Tak naprawdę pragnął uznania za to, ile czyta, a tego oczywiście nie dało się zmierzyć testem.

- Zdrówko, stary.

- Zdrówko.

- Jak Boga kocham, taki sam z ciebie milczek jak z ojca. - Philip nie odpowiedział, więc wujek dorzucił szybko: - I nic w tym złego, nic a nic.

- A o co chodzi z tym karnawałem? - spytał Philip. - Tak czasem mówisz. „Totalny karnawał”. Co to znaczy, tak dokładnie?

- To znaczy... - Wujek Phil wgapił się w jezdnię, naprawdę się dla bratanka wysilając. - To znaczy: barwna żywiołowość ludzkiego mięsa. „Tak dokładnie”. - Przeniósł wzrok na Philipa.
- Kapujesz?

- No.

Parking był prawie pusty. Plaża po prawej, ześlizgująca się ku morzu, była tak ogromna, że każdy momentalnie na niej przepadał. Kilkaset metrów dalej Philip dostrzegł coś, co mogło być parasolem. Pośród mgiełki nad ubitym piaskiem odpływu spacerowała sylwetka w niebiesko-żółtych ciuchach; może nawet dwie sylwetki, ale z tej odległości nie dało się poznać. Prócz nich tylko jakiś drobny psiak węszył przy wyblakłych kłodach, które ileś lat sztormów wyrzuciło u podnóża lasu.

- Genialnie! - stwierdził wujek Phil i przystanął z rękami na biodrach, chłonąc to wszystko. Prawie musiał przekrzykiwać huk fal. - Przecież tu nikogo nie ma! Popatrz tylko! Tam, gdzieśmy się z ojcem wychowali, coś takiego się nie zdarza! - Wiejąca w twarz bryza przyliżała mu włosy i wreszcie leżały jak trzeba.

Sasha i Tommy siedzieli udręczeni w aucie. Tommy podskakiwał. Wujek Phil wreszcie pojął sens ich grymasów.

- No pewnie! Możecie wysiąść! - Uniósł ręce nad głowę, zdumiony, że dzieciaki jeszcze tkwią w środku. - Wysiadka! Biegiem przed siebie! To w końcu plaża!

- Nie idźcie za daleko! - krzyknął Philip do ich pleców. - Sasha, pilnuj Tommy'ego. Dogonimy was.

Wujek otworzył bagażnik i wyładował ręczniki, plecak z drugim śniadaniem, latawiec. Spytał Philipa, czy powinni wziąć łopatę, a chłopak odpowiedział, że świetnie nadaje się do budowania zamków, można zbudować coś „pokaźnego”. Lubił

używać przy nim słów takich jak „pokażny”, bo wujek wtedy śmiesznie się wzdygał (potrząsając rozwianą czupryną), a potem mówił coś w rodzaju: „No, imiennik, z ciebie to jest, kuźwa, yntelektualysta!”.

Na skraju parkingu wujek Phil przystanął, by objąć wzrokiem rozpościerający się przed nim, owiany bryzą bezkres. Wydawał się nawet odrobinę niespokojny. Coś w wahaniu wujka sprawiło, że Philip poczuł dumę, że mieszka w Kanadzie: pustej, ogromnej, a przez to jakoś tam niebezpiecznej. Chłopak od dwóch lat nie był na Long Beach, ale nawet lubił tę okolicę, chociaż woda była beznadziejna, tak lodowata, jakby stopiła się przed paroma sekundami. Całkiem się w niej traciło czucie.

– Mógł mnie ojciec uprzedzić! Przecież tu jest genialnie!

Ojciec też zdawał się krytycznie nastawiony do wujka, chociaż mówiąc o młodszym bracie, zawsze ciepło się uśmiechał. Ale to chyba dlatego, że tęsknił za Anglią i za latami chłopięcymi – tak w każdym razie wyjaśniła to Philipowi matka. Ojciec wyjechał do Kanady, kiedy miał osiemnaście lat, i poszedł tam na studia, by znaleźć pracę jako urzędnik państwowej poczty. Wujek Phil został w Londynie i, jak mawiał ojciec, nigdy nie dorósł. Philip przypomniał sobie minę matki, gdy parę miesięcy temu, natknąwszy się w telewizji na jakiś reality show, przyglądała się długowłosemu, staremu jąkale, by potem, w przypiływie sarkastycznego olśnienia, powiedzieć ojcu: „Twój brat chciałby być Ozzym Osbourne’em”.

Wujek Phil grywał kiedyś w zespołach – jako basista, zazwyczaj sesyjny. Znany był przede wszystkim z tego, że „szył” z rockmanami, których nazwiska faktycznie coś Philipowi mówiły. Zwłaszcza że chłopak zdążył już nasłuchać się różnych historii. Wujek Phil występował kiedyś na jednej scenie z Elto-

nem Johnem, a z Philem Collinsem objechał całą Europę. Raz wystąpił też z Dennyem Laine'em z Wingsów (wcześniej z The Moody Blues). Kiedy Charlie Watts nagrywał solowy album, wujek Phil akompaniował mu przy dwóch kawałkach, tyle że żaden nie zmieścił się na płycie. Grał na całym albumie koncertowym Iana Dury'ego i podobno dało się go znaleźć na zdjęciach z okładki. Ojciec mógłby jeszcze długo wymieniać, snując historyjki o muzykach, które z muzyką nic nie miały wspólnego. Wujek Phil „znał gościa, który tamtego ranka jako pierwszy znalazł Hendrixa”. To także on „osobiście odwiódł niemłodego już, ale totalnie narąbanego Richarda Starkeya od wywrócenia stołu, na którym stało mnóstwo kufli z piwem”.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd wujek ostatni raz gdzieś zagrał. Od tamtego czasu zajmował się „produkcją”, czyli robił płyty, chociaż Philip nie do końca rozumiał, na czym właściwie polega praca wujka, poza tym, że zna całą masę muzyków. Pytany, żartował: „Taka tam muzyczna polityka. Struktury organizuję”. Zaledwie w zeszłym tygodniu Philip podsłuchał, jak matka w rozmowie z tatą nazywa wujka „podstarzałym gońcem”, a tata co prawda pokręcił głową, ale przyznał jej rację. Przydając całej wizycie aury nielegalu, co Philipa bardzo rozemocjonowało, matka dodała: „I żeby mi tu nic z tej Jamajki nie przewoził!”. Ojciec zapewnił ją, że jego brat nie zrobiłby czegoś takiego. Philip uwielbiał słuchać, jak stonowany angielski akcent ojca nabiera pikanterii, gdy mowa o wujku Philu. Niemal wyobrażał sobie wtedy tatę jako chłopca robiącego coś dla rozrywki.

Potem ojciec powiedział o bracie jeszcze jedną rzecz, a brzmiał przy tym tak angielsko, że bardziej się nie dało: „Widzę też, że dalej jest szalenie samotny”.

Odeszli spory kawałek, bo wujek Phil nie chciał, „żeby się ludziska napatoczyły”. Tak mu na tym zależało, że przez jakiś czas niósł i Tommy’ego, i koszyk, a kiedy dotarli na miejsce, wykończony gwałtownie upuścił oba ciężary w piach. Tommy, upadłszy na bok, spojrzał na Philipa, niepewny, czy powinien się rozplakać.

Wujek natychmiast wziął się do rozpakowywania bambetli i składania latawca. Wiatr – ocenił – jest genialnie stabilny. Philip dostał zadanie: spośród leżących na brzegu kłód miał wyszukać kawał drewna, „wielkości twojej nogi”. Kiedy wrócił z kijem, wujek przeniósł manatki z miękkiego piasku na twarde, ubity odpiływem. Mały Tommy dumnie ciągnął za sobą łopatę.

– Będzie przyplływ? – spytała Sasha, popatrując na pianę grzywaczy, które kotłowały się w rozhuczanej mgiele.

– Tak – odparł Philip. Chciał, by wybrzmiało w tym ostrzeżenie, chociaż sam nie miał pewności. Piasek pod nogami był zimny i mokry, twarde jak podłoga. – A przychodzi bardzo szybko. Jak powiem, że ruchy, to znaczy, że ruchy.

Ale Sasha chciała tylko wiedzieć, że będzie przyplływ.

– „Chroń królową”! Możemy się pobawić w „Chroń królową”!

Zabawa z przyplływem polegała na tym, że królową (patyk, muszlę albo uklepaną górkę z piasku) obudowywało się fortem z kilkoma liniami murów i fos, a wszystko po to, by nadciągająca fala nie wdarła się do środka i jej nie zatopiła. Gdy pierwsze płaskie jezory docierały do fos, wypełniając je, a potem lizały mury, które zaczynały kruszeć, przychodziło nieuniknione, wraz z cudownym, panicznym szaleństwem, w którym usypywało się możliwie najszybciej jak najwięcej piasku, żeby wzmocnić pękające mury. W zeszłym roku, na innej, przytulniejszej plaży Sasha rzuciła się na płask, żeby własnym ciałem zatkać wyrwę w murze,

wrzeszcząc w desperackiej euforii, bo woda i tak nacierała, było jej coraz więcej, i w końcu przedarła się, obmywając stopy Królowej Piasku – która spadła z piedestału, rozpuściła się – skutek od zawsze wiadomy, zawsze na niby wypierany – inaczej zabawa nie miałaby żadnego sensu. W końcu musieli najzwyczajniej w świecie się poddać: stawali dokoła, dysząc ciężko przez usta, już bez napięcia na twarzach, i przyglądali się umieraniu.

– Dajcie mi tylko wystartować latawiec i potem możemy ratować, kuźwa, tę waszą królową.

Dwoje młodszych dzieci czekało, aż skończy. Wciąż zdyszany po spacerze, wujek Phil dwa razy musiał przerywać przygotowania do numeru z latawcem, żeby przysiąść na papieroska. Pociągał coś z termosu; Philip dobrze wiedział, że to gin. Kiedy Tommy podbiegł do wujka po łyżeczek, spotkał się z rozbawioną odmową: „Oj, maluchu, t e g o byś nie chciał”.

Latawiec miał jajowaty kształt i flagę brytyjską po obu stronach. Na monotonnym tle piachu i wody jego barwy wyglądały doprawdy nienaturalnie, nawet dziwacznie, a Philip pomyślał, że tylko gdzieś wysoko na niebie coś podobnego mogłoby być na miejscu.

Wujek skończył składać latawiec i ułożył go na ziemi, przytrzymując stopą, bo rzeczywiście było dość wietrznie. Poprosił Philipa, żeby wykopał dół na głębokość nogi, i chłopak pracował łopatą, póki nie usłyszał, że starczy: dziura miała z pół metra. Wujek przywiązał przezroczystą żyłkę wędkarską do długiego kija, włożył go do dołu i zagrzebał, tak żeby wystawała tylko niewidoczna żyłka. Drugi jej koniec przytroczył do uchwytu, od którego odchodziła linka latawca. Reszta poszła łatwo – mimo peta w gębie wujek wyglądał niemal jak lekkoatleta, gdy biegł

te kilka kroków, by cisnąć latawiec w górę i rozwinąć linkę, i wkrótce latawiec tkwił w niebie, ze trzydzieści metrów nad nimi. Wtedy wujek Phil puścił uchwyt.

Numer polegał na tym, czego nie było widać. Po uklepaniu piasku nad dołem widziało się tylko latawiec, linkę i uchwyt, a wszystko to zawieszono w powietrzu, bez mała dwa metry nad ziemią, nietrzymane ludzką ręką.

Wujek Phil brzdęknął napiętą żyłką, niewidzialną, a przecież mocną. Otrzeptał dłonie z piasku. Przypatrując się upiornej, wiszącej w powietrzu rączce, a nie szybującemu nad nimi latawcowi, spytał: „No i jak?”. Rozglądał się po całej plaży za ludźmi, ale nikogo nie było.

- Pomyślą, że przyszedliśmy z oswojonym duchem - powiedział i zaśmiał się cicho.

Sasha spytała, czy teraz już mogą pobawić się w „Chroń królową”.

To Sasha zaczęła wznosić mury wokół wujka, gdy siedział sobie na piasku, podziwiając swój numer z latawcem. I to Sasha domagała się, żeby „zagrzebać go całego, żeby mu tylko głowa wystawała”, uznając, że ten król jest stanowczo za duży. Wujek Phil nie protestował, tylko ze stoickim spokojem wgramolił się do podłużnego dołu, który Philip wykopał na taką głębokość, żeby nie podtopić dna. Wujek rozsiadł się w nim, pokrzykując, że „to jest, kuźwa, lód”, ale głośno uspokoił samego siebie, że zaraz się nagrzeje.

- Tylko musisz mi dostarczać zapasy - nakazał Philipowi. Chodziło o gin i fajki. Wyglądał komicznie: pod brodą wyściełany kołnierz kamizelki myśliwskiej, włosy sterzące mizernie na wietrze, pet podskakujący na rozgadanych wargach. Klasyczna

głowa bez ciała. Tommy z radością wykonywał powierzone mu zadanie, schylając się, by wlać wujkowi w usta płyn i nie zamoczyć peta. Philip musiał sam przed sobą przyznać, że rozpiera go duma, gdy nie dość, że przypalił pierwszego papierosa, ale nauczył się robić to na wietrze. Wujek Phil był niezłym nauczycielem. „Cały wic – tłumaczył – polega na tym, żeby jak najciaśniej osłonić płomień, ale się nie poparzyć. Znaleźć te kilka milimetrów”.

Ponieważ tym razem królową, a raczej królem, był człowiek, mury trzeba było zrobić wyższe, fosy głębsze. Sasha i Tommy kopali piasek, a potem usypywali go i uklepywali, żeby ochronić zagrzebanego wujka przed katastrofą, huczącą coraz bliżej, wzbijającą chmury wodnistej mgiełki, od której chłodził ten błękitny dzień z oceanem na horyzoncie, nigdzie (to się czuło w bebechach) niemającym końca.

Włożywszy kolejnego papierosa w wujkowe usta, które niezbyt pięknie po niego sięgnęły, Philip postanowił nie mówić mu, że robią się fioletowe. Gdyby zabawa skończyła się teraz, kiedy fale nie sięgnęły jeszcze nawet pierwszych fos, braciszek i siostrzyczka byliby zawiedzeni. Poza tym wujek Phil wciąż miał mnóstwo energii, cały czas trajkotał, wyłącznie o muzyce. Teraz już musiał przekrzykiwać nadciągające fale. Wyglądało to naprawdę niesamowicie. Jakiś czas temu Sasha przyozdobiła mu głowę koroną z wodorostów i teraz jedna z gałązek furkotała o policzek.

- ...bo to już nie jest angielskie, tylko europejskie albo brązowe. Znaczy wiesz, stary, ja tam u w i e l b i a m brązowych. Little Richard to mój bohater. Z Ravim Shankarem też się trochę czasu spędziło. Chodzi mi o to, żeśmy nigdy nie mieli własnej muzyki, no chyba że jakieś, kurwa, s k i f f l e. - Parsknął.

Philip nie do końca rozumiał, czemu tak się dzieje, ale wujek mówił bardzo szybko, na nikogo tak naprawdę nie zwracając uwagi. Dosłownie szczękał zębami.

- No bo patrz, Elvis przełożył dla nas muzykę czarnych i to byli ci pierwsi najeźdźcy, których myśmy przetrawili i odesłali wam pod postacią Stonesów, Yardbirdsów i tych wszystkich rhythm'n'bluesowych takich owakich, kumasz, ale teraz wyście nam wysłali Britney i to mnie, wiesz, to mnie naprawdę wpie-
nia! Bo co my wam możemy odesłać w zamian? Chyba tylko ja-
kieś, kurwa, wiadro s ł o d y c z y. - Znów się roześmiał, zakasz-
łał. - Chryste, naprawdę tu zimno, nie wiem, czy... - Zadarł nos,
by znów komicznie zakrzyknąć, z angielskim „r”: - Brrrandy!

Na co Tommy odkrzyknął:

- Już! - Porzucił łopatkę i dając krok nad fortyfikacjami, pospieszył z ginem w termosie. Oferta Tommy'ego nie była zbyt stabilna, a wujek Phil dygotał, więc trochę spłynęło mu po brodzie.

- Sting. Znam gościa. Wiesz, kto to Sting?

- Nie.

- Taki tam chodzący dowód, że starczy mieć nie o k i e ł z -
n a n e a m b i c j e, no i nosa, żeby jechać do Hollywood, jak tylko
zadzwonią, kuźwa, d z w o n e c z k i e m. Znaczy, dobra, gostek
j e s t przystojny, ale...

Wujek mówił już tylko do siebie, a Philip naprawdę miał tego dość. Na spróchniałym drzewie za ich plecami przysiadł orzeł i kiedy Philip pokazał go palcem, wujek spróbował odwrócić szyję, żeby popatrzeć, ale jakoś nieprzekonująco, i tylko dalej gadał jak najęty. Teraz trzy kruki - ulubione ptaki Philipa - przyleciały, żeby przegonić orła i zająć jego miejsce wśród konarów. I mimo że huczał ocean, Philip chciał, żeby wujek usłyszał ich

krakanie, wrzaski i inne odgłosy, zwłaszcza ten, który idealnie przypominał dźwięk dobrze nagłośnionej kropli, spadającej do kałuży w czeluściach jaskini: p l u m k. Czasem kruki zdawały się tak ze sobą rozmawiać, z różną intonacją, jakby coś ten odgłos miał znaczyć albo jakby miało wyjść zabawnie. Philip marzył, by powiedzieć wujkowi, jak łatwo wtedy uwierzyć, że w ptaszyskach zamieszkują duchy sędziwych indiańskich mędrców, którzy musieli mieć w sobie coś z komików.

Gdy jęzor nacierającego faliska podpełzł do nich z sykiem, przeskoczył dwie fosy i bez najmniejszego trudu przedarł się przez pierwszy mur, wujek Phil niemal się ocknął. Ale jedyną oznaką walki było to, że uniósł głowę, jakby starał się ją oderwać od piasku.

- W sumie... W sumie jest b a r d z o z i m n o. - Zaśmiał się, jakby z łoża boleści, bez cienia uśmiechu. Wydawał się zakłopotany. - Coś mi się zdaje, że... Philip? Wiesz, coś mi się zdaje, że nie mam czucia w... Chyba muszę... Phil?

Głos mu zamarł. Wujek Phil zacisnął zęby i rozciągnął sine usta, jak tylko się dało. Wargi miał szare. Gest pozostał niekompletny, jakby wujek zapadł w sen.

Philip widział, że w połowie drogi do parkingu Sasha i Tommy zdążyli się zmęczyć i zwolnić kroku. Przy autach kręciło się parę osób. Ponieważ nie widział ich ramion, domyślił się, że i oni nie zobaczą jego machania, więc przestał. Próbował wrzeszczeć długo, przeciągle, ale nic to nie dało. Ledwo sam siebie słyszał pośród huku fal, które były już naprawdę blisko.

Najpierw odkopali ramiona wujka, starając się go wyciągnąć, ale natychmiast się okazało, że nie są nawet w stanie ruszyć go z miejsca. Po jakimś czasie udało im się ogrzebać go aż do

pasa, ale nadal ani drgnął, więc mały Tommy musiał uklęknąć za nim, zaprzeć się nogami i podtrzymywać głowę wujka nad grzbietami fal, które podchodziły chłopcu aż do piersi. Sasha położyła się na brzuchu, żeby zatamować wyrwę w murze, jak dwa lata wcześniej, tyle że teraz nie towarzyszyły temu okrzyki radości, a ledwie słyszalne, niemal wykasłane: „Szybko, szybko!”. Tommy miał rozwarte oczy i posępną minę: rozumiał, że z wujkiem to już nie żarty i że cały ten popłoch ma coś wspólnego z czasem. Gdy przedarła się do nich większa, raptowniejsza fala, głowa wujka wysliznęła się Tommy’emu z rąk i przez chwilę była pod wodą, bo Philip macał za łopatą kawałek dalej. Kiedy fala się cofnęła, ponownie odsłaniając głowę wujka, któremu brak oddechu zdawał się w ogóle nie przeszkadzać, Sasha i Tommy, pojmując, co się święci, wybuchnęli płaczem. To właśnie wtedy Philip kazał im biec na parking i sprowadzić pomoc.

Philip klęczał, trzymając głowę wujka, a fale to podchodziły pod nią, to się cofały. Były hałaśliwe, męczące i ciężko się było zorientować w upływie czasu – mogło minąć z piętnaście minut, nim Tommy i Sasha dotarli na parking. Teraz już woda sięgała Philipowi aż do podbródka, a głowa wujka i tak połowę czasu była pod wodą, więc w końcu chłopak wymamrotał kilka słów, których nawet sam nie usłyszał, puścił głowę i ruszył tyłem, nie odrywając wzroku od tamtego miejsca, ku wyżej położonym placom plaży.

Philip zdawał sobie sprawę, że gdzieś musiał się pomylić. Zawalił coś bardzo ważnego, coś, co go przerastało. Rozmyślał nad tym, co powie matka. Próbował sobie wyobrazić, jak głośno będzie krzyżeć ciotka Sally i ile jeszcze tu zostanie, zanim wróci do Anglii. Dziś będzie nocować z nimi czy pójdzie do motelu? Jutro nie zjedzą chrupkiego bekonu. Ojciec nie ma już brata.

Stał po kostki w wodzie, z twarzą bez wyrazu, patrząc, jak kolejne fale rozbijają się o brzeg, a głowa wujka nadaje kształt pędzącej, przejrzystej wodzie, jak głaz pod powierzchnią szerokiej, bystrej rzeki – rzeki, której nurt zwalnia całkowicie, by zaraz zawrócić i pomknąć w odwrotną stronę. Za każdym razem, gdy woda się cofała, odsłaniając wujka, Philip wyglądał symptomów ozdrowienia, ale nic się nie zmieniało, prócz gałązek wodorostów, które co rusz układały się inaczej na szyi i barkach, i jego cienkich włosów, które teraz same przypominały jakieś żałosne zielsko. Potem rozbiła się następna fala, i jeszcze jedna, a Philip musiał cofać się na coraz to wyższy grunt, aż wreszcie – totalny karnawał – jedynym śladem po wujku, gdy zerknęło się w prawo, był jego numer z latawcem.

Przełożył Krzysztof Majer

Ośmioletnia wychowanka szkoły niedzielnej drży na myśl, że Jezus żyje i może kryć się w najzwyklejszych przedmiotach. Kierowniczka oddziału bankowego po każdym orgazmie zapada w niepokojący sen, pełen osobliwych wizji. Początkujący poeta bez centa przy duszy nęka zajadłymi wierszami nieuczciwego sprzedawcę samochodów. Odrzucony kochanek po dwóch dekadach odnajduje dawną partnerkę na drugim brzegu kontynentu, by wręczyć jej nietypowy prezent.

W dziewiętnastu opowiadaniach – wybranych specjalnie dla polskiego czytelnika – Gaston sprawnie miesza rejestry i garściami czerpie z różnych tradycji: gotyku amerykańskiego Południa, realizmu spod znaku Alice Munro czy minimalizmu Raymonda Carvera.

W tych przesyconych dziwacznym humorem, pozornie lekkich i błyskotliwych opowieściach czyha niejedna pułapka. Zagubieni bohaterowie po omacku szukają odpowiedzi na fundamentalne pytania. Bywają samotni, niezrozumiani, uparci, czasem absurdalni. W swojej groteskowości są jednak przejmująco ludzcy, a nawet niebezpiecznie znajomi.

www.marginesy.com.pl



9 788366 335028

cena 39,90 zł

PATRYCJA MEDALNY

CONRAD FESTIVAL

BOOKLIPS.PL IIIII

Książki
na ostro

w sprzedaży także

